**Dawne Mościce z pamięci mieszkańców. Z Marią Kwater (z domu Pyteraf) rozmawia Monika Faron, podkast 3.**

**Podkasty nagrane w ramach projektu „Mościce mam sercu. Upowszechnianie dziedzictwa kulturowego przyfabrycznej dzielnicy Tarnowa”. Zapraszamy do odsłuchania rozmowy.**

**Spisany tekst rozmowy jest dostępny w formacie otwartym (jako dokument tekstowy). Kliknij, żeby pobrać tekst rozmowy.**

**Zapraszam na spotkanie z poetką, panią Marią Kwater, która wspominać będzie swoje dzieciństwo i swoją młodość w Mościcach. Pojawią się zapachy:** z tych ogrodów to był taki zapach, aż dusił, tak na przełomie maja i czerwca. **I smaki…** mógłby to nawet chrupiący chleb z masłem ale nikt nie psioczył. **Będą wspomnienia o zabawach:** zawsze robili ze mnie takiego zawodnika, który nazywał się Deptał. On prawie zawsze ostatni na metę przyjeżdżał… **I o powiewie wielkiego świata:** to była Europa prawie, aut przyjeżdżało, ludzi, wszystko… **Podczas tego spotkania towarzyszyć nam będzie poezja pani Marii Kwater, wiersze pochodzące z pierwszego tomiku w zatytułowanego „Zamknięte w pułapce czasu” z 2012 roku. A do dziś, pani Maria ma na swoim koncie już 5 tomików wierszy**. **Zapraszam!**

**[wiersz – czyta autorka]**

Pamiętam dzieciństwa progi

grządki sałaty przed domem

zapachem malin sen błogi

rabatki bratkiem majone

I wiśnie cierpkie, soczyste

plecione stokrotką łąki

i wody rzeki przejrzyste

bzu kiście, jaśminu pąki

Co rano do pracy ojciec

wychodził ze starą teczką

kotka się myła na płocie

a potem piła swe mleczko

Kiedy dzwoniło południe

mama stawała na progu

Z kuchni pachniało tak cudnie

Dzięki składało się Bogu

Wieczorem kochana mama

baśnie mi piękne czytała

Bogata byłam miłością,

choć życia z bajki nie miałam

Maria Kwater: To było życie na barakach, przy Azotach, gdzie tato przepracował 42 lata. I to było może nie bardzo bogate, też nie całkiem biedne (bo bym skłamała), ale bardzo szczęśliwe dzieciństwo, pomimo tych trudów, pomimo braków, pomimo tego, że nie było wielu rzeczy, że dzieci nie widziały niektórych rzeczy. Nie miało się tylu przepięknych zabawek, jak obecnie dzieciaki mają, że nie wiedzą czym się bawić. Miało się lalkę z gałganków, miało się jakąś kołyskę, jakiś wózeczek dla lalki. To już był luksus. Pamiętam, że miałam lalkę, która oczy zamykała, ale dostałem ją dopiero później, bo to z Anglii przyszła od dziadka. Dziadek szedł z Andersem. Walczył, nie wrócił. Znaczy żył, ale nie wrócił tutaj. Bał się chyba wrócić. Tak mu się zeszło ileś tam lat za wodą wielką. Natomiast - co mogę powiedzieć - ulica mojego dzieciństwa. Ona nazywała się wtedy Kościelna. Obecnie nazywa się Księdza Indyka, a w międzyczasie jeszcze, nazywała się za czasów komuny – Zawadzkiego. Przy ulicy przepiękne jesiony i jak wracam, przyjeżdżam czasem do Mościc - bo od 74 roku mieszkam w Tarnowie, w centrum - to patrzę i jakoś te jesiony inaczej szumią, inaczej wygląda ta ulica. Nie ma parkanów, nie ma tych baraków. Tam gdzie stały baraki stoi budynek policji w tej chwili. Dokładnie to garaże od strony policji stoją na miejscu gdzie stał barak, w którym się wychowałam. Przy ulicy Kościelnej to było tak, niech policzę: dwa, cztery, sześć, osiem… no około dziesięciu było tych baraków. To się do Konsumu chodziło, bo Konsum to był słynny sklep nad sklepami, niech się wszystkie markety schowają. Tam wszystko kupił. Nawet do baru mlecznego szło się na bułkę chrupiącą z szynkową kiełbasą. Tego smaku już nigdy nie będzie nikt czuł... Tam był zieleniak, mięsny, ogólnospożywczy, materiały, buty, wsio. Jak w GS, jak sklep GS-u (tłum. Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”– nazwa spółdzielni produkcyjno-handlowo-usługowych istniejących w większości gmin wiejskich i miejsko-wiejskich w Polsce). I tam było bardzo dobre zaopatrzenie. Obok był bar mleczny, mamusia mnie tam zabierała.

**[wiersz – czyta autorka]**

Nie ma to jak mleczny bar!
Finezja smaku i aromatów
tutaj pierogów ruskich czar
na obiad wstąpisz tu bez krawatów

W nim się wyżywi cała rodzina
na wynos weźmie też coś dla kota
samotny chłopak czy dziewczyna
ilekroć przyjdzie im ochota

Samoobsługa, kulturalnie
czasem się w zupie włos zapląta

Jak nie zjesz w porę - to fatalnie
wszystko ci zaraz pani posprząta

To nic że rośnie Ci i cholesterol

że masz nadkwaśność, bo olej stary
A ziemniaczane? Te są dopiero!
Jak nie spróbujesz, to nie dasz wiary

Tu przypalone, niedosmażone

krokiety, pyzy czy inne danie

Czasem bez cukru lub przesolone

lecz za to duże, pożywne, tanie

MK: Po latach spotkałam się z panią, która pracowała w tym barze mlecznym. Pamiętała mnie jako małą dziewczynkę. Ona, się okazało, też była poetką i wydała tomik. Przez nią właśnie zaczęłam pisać i otworzyłam się na świat. Przypadkowo ją zupełnie spotkałam, było małe nieporozumienie i ona mnie zapytała, czy dała mi tomik. Ja mówię: „Nie, myśmy nie rozmawiały o żadnym tomiku”. Powiedziałam jej, że ja też piszę, ale do szuflady. Zawsze wspominałam, jak mama kupowała mi w barze mlecznym bułkę z kiełbasą szynkową. I ona (ta sprzedawczyni z baru) zawsze mi wsadziła dwa plasterki do tej bułki. Ta pani no żyła ponad 90 lat. Potem mieszkała na Polnej, niedaleko mnie, także odwiedzałyśmy się.

Mieszkanie mieliśmy bardzo ładne. Ono było narożne, z toaletą i takim pomieszczeniem, że można go było zaadoptować na łazienkę. Rodzice nigdy nie mieli na to pieniędzy, żeby tam zrobić prawdziwą łazienkę. Tam była spiżarnia a myło się w balii, w misce. Ciepła woda, piec kaflowy, płyta. Można było frytki piec z ziemniaków. Wtedy kroiło się ziemniaka na blachę… Fryteczka była, ach! Prima sort. Ziemniaki, nazywały się „amerykany”. Tato miał małe poletko za domem i sadził te ziemniaki. Mieliśmy ogródek. W tym ogródku - tak, jak napisałam w wierszu - pomiędzy koprem a sałatą tańczyły malwy. Wszystko było kolorowe. Znaczy to była ciężka praca, żeby tak wyglądało… Pamiętam, jak chodziłam z tatą na wały zbierać krowie placki, bo się nawóz z tego robiło. Wszystko było ekologiczne. Teraz wszyscy szumnie mówią ekologia. Myśmy żyli ekologicznie! Nie chodziło się do sklepu z nylonową reklamówką, tylko miało się siatkę oczkową, udzierganą na szydełku nie wiem z czego. Na drutach można sobie było taką siatkę zrobić.

**Monika Faron: A pani tato zawodowo zajmował się czym?**

MK: Tato na Azotach był spawaczem. Spawał między innymi kotły na EC 2. Wjeżdżał tam na samo dno i tam spawał. Od niego zależało, czy nie będzie coś przeciekać. To była bardzo ciężka praca. Pracował na EC2. Pracował na Kapro najpierw, potem na EC2. Całe życie w masce, w uniformie i z palnikiem w ręce.

**MF: Potwornie ciężka praca…**

MK: Tak. Pamiętam moje pierwsze spotkanie z tatą (takim innym niż tato, który był w domu. Bo tato w domu zawsze była koszulka, miał bujne, czarne włosy, więc zawsze były zaczesane. Zawsze pamiętam czysta koszulka, spodenki, paseczek, te sprawy. Marynarka, jak to kiedyś coś napisałam wspomnieniach, pachnąca tytoniem). Poszłyśmy z mamusią, bo mama się z tatą umówiła, że przyjdziemy, bo nie było pieniędzy w domu. No taka prawda. Jak była wypłata, na 25 można było wziąć zaliczkę a konto wypłaty. I to był 10 i 25. Mama przyszła ze mną pod bramę. No i patrzę a tu idzie tatuś w takim ubraniu roboczym, rękawice w ręce ma, umorusany, zziajany. Zupełnie nie mój tatuś! Miał taką pracę, miał taki zawód wyuczony. Oprócz tego jeszcze znał się na ślusarce, potrafił dorobić klucze. Potrafił nawet zrobić sanie na metalowych płozach. Człowiek złota rączka.

Tato, jako młody chłopak, został w domu ze swoją matką i czwórką rodzeństwa, bo dziadek (tak anegdota chodziła), wsiadł na rower i uciekł, bo dowiedział się, że idzie front. Oni w Mościcach mieszkali na Kolejowej, na osiedlu kolejowym. I poszła fama któregoś dnia, dowiedzieli się pocztą pantoflową, że muszą uciekać, bo idzie front. Babcia zabrała te wszystkie dzieci, tobołki uciekali gdzieś tam, nocowali w jakiś szopach, stodołach…Potem się okazało, że front przeszedł bokiem i można wracać, bo nic nie ucierpiało, póki nikt nie rozszabrował domów. Więc oni zaraz wrócili, tylko dziadek poszedł walczyć. No i taka anegdota w naszej rodzinie została do dziś, że on po prostu na tym rowerze pojechał w nieznane. Szukać armii. A tacie, z racji że był najstarszy, powiedział: teraz mnie zastępujesz. No i tato zastępował. Poszedł do pracy. Zamiast skończyć liceum - bo mu dobrze szło - poszedł pracować. I pomału, pomału… Ja myślę, że on się wszystkiego uczył sam i dochodził do wszystkiego sam. I to było bardzo piękne, że potrafił potem utrzymać rodzinę.

Mój tato, oprócz tego że pracował na Azotach, to jego hobby było naprawianie zegarków. Starych, werkowych (inaczej: mechanicznych). To były zagarki: od małych na rękę, poprzez budziki aż do szafkowych, dużych, ściennych i stojących. Potrafił naprawić rzecz, która wyglądała już jak rupieć i nikt się tego nie chwytał. A mój tato żmudnie, z precyzją, walczył o ten zegar żeby on ruszył. A jak mu ruszył, to widziałam w jego oczach taką radość! Mówił do mamy: „Niuśka! Jest!” I taki był szczęśliwy… Napisałam taki wiersz dla taty: „Pamięci ojca zegarmistrza”:

**[wiersz – czyta autorka]**

Mój ojciec był lekarzem czasu

zegarów co go odmierzały

wciąż bez pośpiechu i hałasu

smarował tryby wyrdzewiałe

W świecie wskazówek, sekund, godzin

dni mego ojca upływały

lecz z ciężką pracą musiał godzić hobby

co radość mu sprawiało

Bytując w świecie werków starych

co w pudłach i kopertach żyły

badał z tkliwością swe zegary

te co tykały, kwadrans biły

Elektronika teraz w modzie

Chorych kukułek nikt nie leczy

zmieniasz baterię, zegar chodzi

Nikt nie ma serca do starych rzeczy

**MF: Pani Mario, mieszkając w Mościcach, spędzając te lata dzieciństwa i młodości pani czuła, że Mościce są wyjątkowym miejscem? Czy miała pani taki impuls z zewnątrz, że ktoś przyjeżdżał z rodziny, jacyś znajomi do sąsiadów i mówili: jej, ale Wy tu macie pięknie…**

MK: Nie przypominam sobie takich sytuacji. Po prostu wtedy brało się życie takie, jakie było. Na pewno człowiek chciał się troszeczkę wyrwać, chciał gdzieś coś innego zobaczyć, ale no to były takie czasy. Rodziców nie było stać żeby pojechać za granicę czy gdzieś… Moim jedynym wyjazdami były kolonie letnie z Azotów. Byłam ze trzy razy na koloniach.

**MF: W Mościcach były doskonałe te różne sekcje sportowe. Czy pani w czymś uczestniczyła?**

MK: Nie. Jeżeli chodzi o sport to chyba byłam noga… Z wuefu miałam piątkę… Przez kozioł skakałam, na linę się wspinałam, na drabinkach robiłam poprawnie wszystkie ćwiczenia, ale w biegach byłam cienka. Sportsmenki ze mnie nie było. Wiem, że były sekcje takowe. Natomiast ja od dziecka chodziłam na rytmikę. Jako małe dziecko mama mnie zapisała na rytmikę, ponieważ uznała, że to moją sylwetkę poprawi, będę ładnie chodzić i nie będę się garbić. Tą rytmikę prowadziła pani Anna Heller. Piękna kobieta, utalentowana. Pięknie tańczyła. Bardzo młodo zmarła, nie wiem co to było, ale wiem że jest w Mościcach pochowana. Chodziłam na rytmikę, tańczyłam nawet na puentach. Wiem, że w jakimś przedstawieniu miałam tańczyć Mgiełkę. Mama mi szyła strój. Trochę psioczyła, że taki nieskromny. To było coś takiego jak strój kąpielowy pełny i do tego były takie doszywane strzępy, taka mgiełka tiulowa połyskująca, z cekinami. Wiem tylko, że to się wszystko skończyło źle, bo zaraz po tym występie (już pewnie wirus we mnie szalał) dostałam świnkę. I skończyła się moja kariera na scenie. Jak Świerczkowiacy powstawali, miałam ochotę pójść na przesłuchania, bo podobno śpiewałam nieźle, ale to nie wyszło. Brałam tylko udział w szkolnych przedstawieniach w IV Liceum. Pamiętam, że prowadził to z nami pan Jan Ożga. On przychodził na nasze próby, brat Kazimierza. Przychodził na nasze próby, coś nam tam doradzał i tak dalej. Eugeniusza Oniegina wystawialiśmy w liceum. Nie była to duża rola, ale dla mnie ważne było, że grałam w przedstawieniu. Zresztą do dziś bardzo kocham teatr i jak tylko mogę to biegnę na spektakle.

**MF: A inne, mniej zorganizowane zabawy?**

MK: Była starsza koleżanka, właściwie dwie starsze, a nie było żadnych dziewczynek w tym moim obrębie, właściwie sami chłopcy. Chłopcy rozrabiali, a ja tam się zawsze do nich gdzieś przyczepiłam łącznie z tym, że się potrafiłam z jednym w elektryka bawić, bo mnie nie przeszkadzało. Żużel… tylko zawsze ze mnie robili takiego zawodnika, który nazywał się Deptał. On prawie zawsze ostatni na mete przyjeżdżał w tamtych czasach, bo oczywiście na żużel chodziłam z tatą. To była ciekawa rzecz Mościcach. Jak powstał tor żużlowy - to był bodajże drugi w Polsce! To była Europa prawie! Aut przyjeżdżało, ludzi. Gwar był, ruch! Wszystko.

Poza tym były festyny przy Starym Kasynie. Tam był też Dom Kultury, biblioteka, różne sekcje. Chodziłam tam na mandolinę do pana Abratowskiego. Pamiętam go, jak przez mgłę. Pamiętam go z orkiestry zakładowej. Pamiętam jak chodził po ulicach, bo często się spotykało, bo to jedna parafia. Festyn Mościcki wspominałam na wesoło. Tak go kiedyś opisałam w wierszu:

**[wiersz – czyta autorka]**

Podłoga z desek, piwo się leje

tłoczą się wokół ciasno ludziska

zespół fałszuje lecz strony grzeje

Tu w tańcu facet panienkę ściska

Dziewczyny kiecki mają kloszowe

Faceci w czerni. Krawaty, szelki

Torebki, paski i szpilki nowe

Festyn się w parku rozpoczął wielki

Wata cukrowa do rąk się lepi

ktoś kogoś kuflem walnął po głowie

„Paniusia kupi, wszak cukier krzepi”

na karuzeli dzieciaków mrowie

Sprzedają fanty, stoi strzelnica

już narzeczony ustrzelił kaczkę

może się na nią krzywi pannica

zaraz wymieni na „Sportów” paczkę

Teraz pikniki już urządzają

wokół reklamy, piękne dziewczyny

jest coca-cola, zespoły grają

lecz nie ma to jak stare festyny

Była taka mała scena, tam się tańczyło. Były występy. Jak były festyny to było bardzo wesoło! Całe Mościce się zjeżdżały, podejrzewam, że Tarnów główny też. Autobusy kursowały, bo nie było wielu samochodów i ludzie przychodzili na piechotę. Jako dziecko pamiętam zespół „Osesek”. To był taki kabaret Kazimierza Ożgi. Na festynach grała orkiestra, była muzyka na żywo. Dziewczyny miały kiecki fruwające, bo to te czasy, kiedy sukienki były szerokie i miały sztywne halki. Jak byłam małą dziewczyną to bardzo chciałam mieć tę sztywną halkę a mama nie chciała mi takiej zrobić. No to wzięłam letnią spódnicę i jak mama nie widziała to włożyłam do krochmalu. Dawniej krochmaliło się bieliznę. Wrzuciłam spódnicę to krochmalu. Wykrochmaliłam i zrobiłam sobie z tego halkę. Włożyłam pod sukienkę. Nie chce powiedzieć co mi mama zrobiła… Nie było mi do śmiechu i dostałam karę.

**MF: A które to lata były pani Mario, jak pani mówi o tych festynach?**

MK: No to musiał być 1950 – 1957 i dalej. Jeszcze jak w liceum byłam to były te festyny. 1956 – 63 - to lata moich lat szkolnych w starej szkole „Ósemce” w Mościcach, której już nie ma. Razem z koleżankami i z kolegami z podstawówki spotykamy się raz do roku, od około 10 lat. Odszukaliśmy się po przeszło 40-latach przez media społecznościowe. To była nasza klasa I b. Wychowawczynią była pani Anastazja Strada. Fajne wspomnienia, bardzo sympatyczni nauczyciele, patrząc z perspektywy lat. Kiedyś to człowiek psioczył na nich, jako dzieciak. Zresztą kto nie psioczył na nauczycieli… Później, po latach jak się pomyśli z perspektywy, to przecież tacy fajni ludzie byli… Czemu my byliśmy tacy niedobrzy?

**MF: Pani Mario a jaka była ta Ósemka, której nie ma? Jak wyglądała ta szkoła, jakie wyposażenie no bo to też jest ważne. Cofamy się do lat 50…**

MK: …dokładnie do roku 1956, kiedy zaczęłam naukę. Chodziłam tam do szóstej klasy. Nauczanie początkowe to było siedem klas, a potem już średnia szkoła. W technikum – pierwsza, druga, trzecia, czwarta klasa a liceum od ósmej do jedenastej klasy. Taki był wtedy system.

Jaka była ósemka? Jak na tamte czasy to uważam, że całkiem było fajnie. Jedynym mankamentem tej szkoły było to, że tam nie było szatni. Zamiast szatni były w klasach takie długie, podwójne wieszaki. No i jak się wszyscy ubierali po lekcjach (bo rano to wiadomo, każdy przychodził pojedynczo, rozbierał się, wieszał na wieszaku kurtkę czy płaszczyk i siadał) to było: „Hura! Ostatni dzwonek!”. I wszyscy do tych wieszaków. Rumor straszny. Nauczyciele czasami nie mogli tego opanować więc sobie wychodzili a myśmy się tam kotłowali. Pamiętam pierwsze takie zwarcia, jak żeśmy zaczęli dorastać to chłopaki chcieli się przytulić do koleżanek… Niektórych trzeba było mocno sztorcować. Wesoło było, fajnie było. Jak był deszcz to te ciuchy parowały, to nie było fajne. Drugim mankamentem było to, że chodziło się w butach cały czas. Pięć, sześć godzin co człowiek się uczył. Tam były piękne parkiety, ale one były zapuszczone takim smarowidłem i były czarne podłogi. I zapach miało ciekawy, taki dziwny. Ale poza tym bardzo miło wspominam podstawówkę.

**MF: Wyposażenie jakie było? Bo ja gdzieś czytałam we wspomnieniach - ale to były wcześniejsze czasy tuż po wojnie - że trzeba było z własnym krzesełkiem iść.**

MK: Jak ja byłam to były już ławki. To były takie ławki na dwie osoby, spinane. Pod pulpit można było książkę włożyć. Pulpity były pomalowane zieloną farbą i była w nich dziura na kałamarz (in. wgłębienie w blacie ławki). Nasza pani wychowawczyni powiedziała, że wszystkie dzieci mają przynieść z domu na zmianę raz jedno raz drugie, wypraną serwetkę, którą się kładło koło dziury,jak się w puściło w kałamarz atrament – żeby nie było kleksów na ławce. Moja mama zawsze musiała przedobrzyć. Zrobiła mi taką grubą serwetkę, jak są podkładki czasem w takich kompletach rękawica i podkładka do garnków. Serwetka zrobiona przez moją mamę wyglądała jak ta podkładka pod garnek tylko miała w środku dziurę. „Mamo, po coś mi taką grubą zrobiła? Dziecko, będzie super wchłaniać!. Zobaczysz pani wychowawczyni będzie zadowolona”. Faktycznie była zadowolona.

**MF: Może to pani mama stworzyła prototyp podkładek na gorące garnki (śmiech)?**

MK: Może, może (śmiech). Moja mama zawsze miała pomysły, łatwo jej to przychodziło. Ja mam łatwość rymowania (wiele osób to potwierdza). Ja nawet jak chce napisać biały wiersz, bezrymowy to rym zawsze gdzieś pójdzie. Nie mogę się od tego odczepić… ale staram się nie pisać tych kalwaryjskich, prawda… tylko naprzemiennie…

**MF: Częstochowskich?**

MK: Częstochowskich, tak! (śmiech) Niedokładne rymy są fajne, bo wtedy trzeba trochę pogłówkować. Stary - jary to bardzo szybko wchodzi w uszy. Wymyślić inny rym jest ciężej. Ja zawsze chciałam mieć dużo książek, to mnie zawsze ciągnęło, książki mnie ciągnęły. Jak chodziłam do ludzi, którzy mieli książki to zawsze pytałam czy mogę je obejrzeć. Jak dostawałam książkę do ręki to byłam przeszczęśliwa! Jak mogłam obejrzeć baśnie Andersena… To były drogie rzeczy, książek tak nie było. Jak się pokazały w księgarniach to schodziły z półek. No więc moja mama recytowała mi Mickiewicza. Skończyła w Lublinie przed wojną dwie klasy jakiegoś prestiżowego gimnazjum w Lublinie (mama zawsze tak mówiła). Na tamte czasy to był wyczyn bo jej mama zmarła i nie mogła się uczyć. Została sierotą i biegała po ciotkach, przesuwana na prawo i na lewo. Za każdym razem kto inny się nią opiekował. W tej szkole uczyła się francuskiego, mieli bardzo dobrą polonistkę i mama była taka wyczulona na język polski. Ona mnie właściwie tak nauczyła, może tez mnie ukierunkowała, że ja nigdy nie miałam problemu z ortografią, bo mama żelazną ręką pilnowała tego. I Mickiewicza mi recytowała. Ona znała praktycznie „Pana Tadeusza” prawie całego na pamięć. Z „Ballad i romansów” to pamiętam „Lilije”, zawsze o nie prosiłam. Mama jeszcze tak emocjonująco recytowała, bałam się czasem strasznie, spać nie mogłam. Osłuchałam się tych rymów, tych 12-, 13- zgłoskowców. Może to zakiełkowało we mnie wtedy?

**MF: Na pewno! Ale wie pani jak sobie wyobrażam teraz taką rzeczywistość. Baraki i te „Lilije” recytowane przez pani mamę…to jest kontrast niesamowity. Niesamowicie ciekawy obraz…**

MK: Powiem pani, że jakbym w tej chwili miała taki układ mieszkania w bloku, jak był w tym baraku, na którym się wychowałam (tylko jeszcze jeden pokój jakby był…) super!

**MF: Jak te baraki wyglądały Pani Mario? Dla mnie jest to kompletnie poza możliwością wyobrażenia.**

MK: To były długie, drewniane budynki. Były dwa rzędy desek a między nim był wsypany żwir, szuter dla ocieplenia.

**MF: I na całą jakby wysokość budynku?**

MK: To było między tymi dechami. To były takie duże dechy i między nimi szuter. Okna były podwójne. Skrzydła okna otwierały się: jedna na zewnątrz, a drugie do środka. Między tymi szybami była przestrzeń dosyć duża. Mogły tam stać pięknie doniczki na kwiaty. W zimie wkładało się tam wałki albo to kawałek koca się zwijało żeby powietrze zimne nie wiało. Rano to była bajka! Bo rano się człowiek budził i miał piękne kwiaty na szybach. Ja potem nawet napisałam o tych obrazach (jak się pomału rozwijałam w swojej poezji) takie króciutkie miniatury wzorowane na haiku. I właśnie były takie rzeczy, że jak człowiek się budził, chuchał na tą szybę i ten obraz się rozpuszczał. Jak był mróz w ziemie to było przepiękne. Pokój był duży. Do mojego mieszkania wchodziło się z naroża. Najpierw był mały ganek, potem taki duży przedpokój. Z lewej strony stała drabina, szeroka, a’la schody, po której się wchodziło do góry na strych. Tam można było suszyć pranie, przechowywać różne rzeczy niepotrzebne ponieważ nie było piwnicy. Z tego jakby holu, przedpokoju wchodziło się na prawo do kuchni. Kuchnia była bardzo duża. Stał duży piec kaflowy z blachą. W kuchni było duże okno. Z kuchni wchodziło się do wąskiego pomieszczenia, takiej kiszki, w której łazienkę można było zrobić. Myśmy tam mieli spiżarnię. Tam było duże, piękne okno, które wychodziło z drugiej strony baraku na ogrody. I była toaleta za zamkniętymi, kolejnymi drzwiami. Tak, że pełna intymność, wszystko super. Natomiast z tej kuchni wchodziło się po lewej stronie do pokoju, który miał narożne okna. To okno narożne było super. Jedno było mniejsze, drugie większe.

**MF: Czyli to było duże mieszkanie…**

MK: (Potwierdzająco) Duże mieszkanie! Nie wiem jaki tam był metraż, ale to był duży metraż.

**[wiersz – czyta autorka]**

Kto dziś pamięta stare baraki?

Barwne osiedle przy Azotach

tętniące rytmem zabaw dziecięcych

pełne kurników, trzepaków, płotów

Tam też jedyny w swoim rodzaju

Panował klimat niepowtarzalny

Zapachu biedy zapach bzu w maju

z praniem na sznurach w dzień upalny

W małych ogródkach tańczyły malwy

pomiędzy groszkiem, koprem, sałatą

Pod niebo niosły się śmiechu salwy

dzieci goniących babie lato

Kto dziś pamięta baraki stare?

Szarą codzienność tamtejszych ludzi?

Co z ciężkim życiem się mocowali

w czasach komuny, mitów i złudzeń

W pierwszych barakach to mieszkali przecież budowniczy i inżynierowie. Dyrekcja mieszkała, bo to nie było jeszcze bloków. Z bloków to była stara Szesnastka tak zwana. Ona ma takie okrągłe frontony to ten blok stał – on był ponoć sprzed wojny. A reszta to wszystko powstawało chyba po wojnie. Tato mówił, że to mieszkanie gdzie myśmy mieszkali - mówię to nie po to, żeby się wynosić, czy coś - ale jakiś inżynier tam mieszkał. W tej chwili umknęło mi nazwisko. On poszedł do bloków, bo jak sukcesywnie budowali kolejny blok to się przeprowadzali. I myśmy też z baraków poszli do bloku. Tylko że to ja już wtedy szłam do VI – VII klas.

**MF: Ale to nie było coś takiego, że mieliście państwo poczucie że macie gorzej?**

MK: Ja myślę że to była normalna codzienność… Znam parę osób, które się tego wstydzą (przyp. mieszkania w baraku). Ja się nie wstydzę. Przecież nikt nie jest winny za to gdzie się wychował i skąd pochodzi. Ja bardzo mile wspominam ten okres i ja się świetnie bawiłam! Rozrabiałam na tych barakach, że ho ho! Bawiliśmy się we wszystko co się da. W kryjówki - to można się było chować! Nigdy nie zapomnę, jak weszłam do kurnika. Sąsiadka tam miała kury, miała chlewik, bo tam świnki ludzie hodowali. Weszłam sobie do kurnika i musiałam podrypcić (podeptać) jajka wtedy, bo nie zauważyłam, że tam jest naznoszone jajek…  Wychodzę zadowolona, raz-dwa-trzy, nie znaleźli mnie więc wygrałam prawie że. A za chwilę słyszę, że sąsiadka labidzi (woła zasmucona): Jezusicku, Jezusicku, ktoś mi wszystko jajka wydrypcił! A ja, cwaniara, podniosłam bucik „Ojoj! Skorupki tam mam, trzeba wytrzeć w trawkę, bo jak mnie pani dorwie, do mamusi pójdzie i będzie lanie…”. Łobuzowało się czasem… Chodziło się do sąsiada na groszek… Miałam starszą od siebie koleżankę, mama zawsze mówiła: „Nie będziesz się z nią bawić, bo cię na manowce wlecze!”.

Albo inne: mama mnie wystroiła, mieliśmy iść na sumę do kościoła. Ja wystrojona pięknie, wyszłam i czekałam na mamusię przed domem. Przyszła koleżanka i namawia:

- Chodź, idziemy na groszek, już jest dobry!

- Nie, nie pójdę, mama…

- Chodź!

No i oczywiście wpadłam do kompostu! I przyszłam taka zielona, opływająca glonami… Matka ręce załamała, mówi „no to już po sumie…”. Zanim mnie doprowadziła do porządku to się suma skończyła. No, ale to są fajne wspomnienia, nie?

Dzisiaj przeczytałam post, że znowu jakieś drzewa wycięto w Mościcach! Przecież to się serce kraje! Jak ja pamiętam Mościce, to była zielona oaza. To były zielone płuca… Zwłaszcza przy Azotach, które kopciły. Jeszcze nie było przecież tych wszystkich filtrów, jak teraz są, tylko jak śmierdział cyjanowodór to szło się za zastrzelić! Ale tam były wszędzie drzewa! Krzewy! W maju jak się szło ulicą Jarzębinową, to z ogrodów bił taki zapach, że aż dusił, tak na przełomie maja, czerwca. Słowiki, żabki, jaśminy i bzy… Co trzeba więcej? Rogalik księżyca… To nic, tylko pisać poezję! Przede wszystkim - wszędzie było zielono! Każdy krzaczek ludzie szanowali. A teraz? Mościce były piękne, były zielone - to jest moje wspomnienie. O, był jeszcze ogródek jordanowski w parku. Muszla koncertowa stała za Starym Kasynem. Tam właśnie oglądałam występy tych Osesków i innych. Te słynne ogródki Jordana robione były w miastach dla dzieci. W ogródku była karuzela, huśtawki. Na środku stał taki grzybek - duży grzyb muchomor – z ławeczkami dookoła.

Żałuję, bo nie mam ani jednego zdjęcia przy baraku, z barakiem. Znalazłam jedno zdjęcie, gdzie siedzi moja mama z ciocią i widać fragment kredensu z kuchni. Taki klasyczny kredens, który miał potrójne szybki, dużo drzwiczek, szuflady. Mogłabym teraz taki mieć.

Co tam jeszcze było fajnego w Mościcach…? No tak! Całe lata 60.-70. to się biegało do auli technikum chemicznego na występy! Nie było sali koncertowej wtedy. Pamiętam, jak byłam tam na koncercie Czerwonych Gitar i chłopaki złamali dwa ostatnie rzędy krzeseł, bo to były krzesła połączone jak kinówki, z drewnianymi stukającymi klapami. Skrzypczyk łamał pałeczki na scenie, to oni łamali krzesła, bo grali „Fruwa moja marynara”. Moja córka, która dorastała w lata 90. zazdrościła mi zawsze, że widziałam wszystkich swoich idoli na koncertach. Bo faktycznie, byłam w Mościcach na koncertach: Niebiesko-Czarnych, Czerwono-Czarnych, Czerwonych Gitar, Skaldów, Breakoutu, Miry Kubasińskiej wijącej się w takiej fosforyzującej kiecce… Na scenie, jak zgasili światło, tylko taki wąż się wił i śpiew było słychać… No to był szał! Czesiu Niemen, Młynarski, Stenia Kozłowska, Kunicka - no wszystkich widziałam!

**MF: Zazdroszczę też!**

MK: Pamiętam Młynarskiego - już pracowałam wtedy po maturze. Młynarski przyjechał na Dzień Kobiet do Azotów. No i nam Azoty fundnęły za darmo koncert dla kobiet. Świetny był, po prostu rewelacja! Później, w latach 70. to pamiętam Anię Jantar, jak jeszcze śpiewała supporty - bodajże z Marylą Rodowicz. I widzę ją jak dziś! Siedziałam w pierwszym rzędzie. Miała na sobie taką ciemnoniebieską prawie szafirową sukieneczkę, modne były mini wtedy. I miała takie motylkowe rękawki. I pasek z motylkiem. Włosy rozpuszczone tak do połowy piersi… Rodowicz pamiętam. Trubadurów.

**MF: To szalone, koncertowe Mościce były!**

MK: Mościce żyły! Pomimo, że musieliśmy wysłuchiwać tak zwanego kołchoźnika, czyli szczekaczki od rana do wieczora. Łączyli się z pierwszym programem Polskiego Radia przez cały dzień, a w międzyczasie były komunikaty lokalne podawane. No, ale jak rewolucja, to rewolucja. Trzeba było cały czas pieśni patriotyczne, czy na ludowo. Nie mieliśmy jeszcze wtedy w domu radia, jak byłam w drugiej klasie tato kupił radio Stolica. Narzekałam, bo nie kupił radia z takim oczkiem… Radia miały takie oczko, takiego motylka. U wujka było takie radio a radio Stolica nie miało tego motylka.

Człowiek cieszył się z tego co miał. Na telewizję chodziło się do sąsiadów, gromadnie. Sąsiad zapraszał. I to było to! Ludzie się spotykali, na przykład z okazji festiwalu. Gospodyni stawiała, co miała - mógłby to być nawet chrupiący chleb z masłem - ale nikt nie psioczył. Panowie zawsze sobie jakieś baniaczek wyciągnęli, odbili denko – i po kieliszku. Ale to były fajne czasy! Ludzie się spotykali, ludzie rozmawiali ze sobą.

**MF: Ja bym jeszcze wróciła do tych kołchoźników. Bo to fajny bardzo temat i myślę, że jak słucha pani opowieści ktoś kto ma 20 - 30 lat to w ogóle może nie wiedzieć - już nie mówię o młodszych osobach, to może kompletnie nie wiedzieć o czym my rozmawiamy… Na słupach lamp były głośniki, tuby…**

MK: To były takie tuby, ale oprócz tego każdy w domu miał takie pudełeczko z pokrętłem, taką szczekaczkę domową, taki jakby radioodbiornik…

**MF: …żeby go informacja nie ominęła, czy jest w domu czy na ulicy…**

MK: Tak. Wszystko było zradiofonizowane, nazwijmy to tak – dobrze mówię? Jak w szkołach jest radiowęzeł szkolny - to był radiowęzeł zakładów azotowych. A szczekaczki no… pochody pierwszomajowe były przecież! Zasuwało się do centrum na piechotę z transparentami. Przez całe liceum chodziłam i potem w pracy jeszcze. To było wesoło! Szło się przez Chyszów, przez moast na Białej.

O, Biała… Nad Białą przyjeżdżali Cyganie, całym taborami, w pobliżu mojego baraku. Pamiętam, że grali… Pamiętam, że szłam tam ze starszą koleżanką i żeśmy ich podglądały w krzakach. To jest folklor, to jest część naszego życia. Kilku Romów miałam okazję poznać, to są bardzo fajni ludzie.

Chaotycznie mówię i przeskakuję z tematu na temat, ale chciałabym opowiedzieć jak najwięcej tego, co pamiętam. A z drugiej strony tak sobie myślę: ale kogo to obchodzi dzisiaj? Kto będzie słuchał?

**MF: Pani Mario zakończmy tak: ktokolwiek będzie słuchał - serdecznie go pozdrawiamy.**

MK: Pozdrawiam serdecznie życzę wszystkiego najlepszego zdrowia pogody ducha i tolerancji dla wszystkich ludzi bo to jest najważniejsze.

**MF: dziękuję za spotkanie, dziękuję za te wspomnienia. Szanujmy wspomnienia pani Mario. Dziękuję za tę sporą garść.**

MK: Dziękuję również

**Post scriptum. Ulica mojego dzieciństwa**

**[wiersz – czyta autorka]**

Była kiedyś ulica Kościelna

Wzdłuż baraki, parkany, jesiony

i stał na niej mały kościół z drewna

płotem z krzewów i morw opleciony

Były kiedyś zabawy dziecinne

Klasy, Zośka i w piłkę dziesiątki

na podwórkach psikusy niewinne

klaps za dwoję i łakoć za piątki

Przy trzepakach sąsiadki gwarzyły

sypiąc kurzem z dywanów z gałganków

Konfitury się w kuchniach smażyły

pestki dyni suszyły na garnkach

To przyjezdny kuglarz na głowie stawał

mając w paski śmieszne szorty

A po pracy w Azotach ojcowie

Grali w karty i palili sporty

i wesoło, kolorowo się żyło

telewizja nie była potrzebna

Pranie w balii, w umywalce się myło

Hulajnoga i konik był z drewna

Po barakach już nie ma dziś śladu

O kościółku też nikt nie pamięta

Choć jesiony szumią tu jak dawniej

zapach malin się rozwiał i mięty

Już na progach, w papilotach sąsiadki

nie nadają jak radio Stolica,

w ciuciubabkę się dzieci nie bawią…

Była kiedyś taka ulica…